Nr. 44. We Lwowie dnia 4. listopada 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kartki z współczesnego dziennika.

IV.

Na książce *Rozdziobią nas kruki, wrony* obok złowrogiego tytułu widnieje następująca cytata:

»...A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was szczęściem i tem, co obiecałem na szczycie Golgoty — wolnością...« Dziwne przeciwieństwo między złą wróżbą, a tem proroctwem! Jaka była intencja autora, zestawiającego razem te sprzeczne natchnienia — nie wiem. To jednak jest pewna, że sprzecznościami takiemi trzyma się dusza ludzi, pogrążonych w rozpaczy umysłów. Komu po wyczerpującym ataku boleści, zwątpienia, nie zajaśnieje w pamięci, jak promień gwiazdy przewodniej, myśl taka — ten nie wyjdzie z choroby, skiru nie pokona.

W obrazku p. t. Mogiła spotykamy opowieść o tem, po jakich szczeblach, przez jakie natchnienia przechodzić musi jeden z takich »zagrożonych organizmów«, zanim mu promień jasnowidzenia duszę orzeźwi. Nieszczęsny junkier pułku astrachańskiego, wyrwał się oto z atmosfery sporów doktrynerskich i po raz pierwszy styka się z życiem. Ile upokorzeń znosi ten »wewnętrzny wróg ruskiej ojczyzny«, zmuszony pędzić życie wśród jej »obrońców!« Jak się wije na widok zdrad, jak cierpi na wieść, że nadzieja ich »partji«, najdzielniejszy z nich — już »wzięty«; jak bezsilność przyprawia go o szaleństwo — nie opowiem wam, bo musiałbym dla jasności obedrzeć całą książkę pana Zycha... Ale oto w tym fatalnym przebiegu bólów, napotyka junkier źródła życiodajne. Raz, zabrnąwszy do jakiejś wioski nieznanej, widzi gromadkę chłopów, czytających opowieść o prześladowaniu unitów... Chłopi, dech w piersi zapierając, słuchali gawędy — baby popłakiwały, parobcy zaciskali pięści, chłop stary czytał im gorzką prawdę tonem uroczystym, żałością przejętym. »Słuchałem uważnie tej historji, oparty o ścianę, — powiada junkier. — Nie jestem chłopomanem, nie rozczulają mnie przepocone magiery, ani zabłocone buty. — Ale pomyśleć tylko: Jakaś czcigodna ręka przelała na papier te żałośne opowiadania, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysiędze jakiejś, cnocie, czy prawdzie — należy wiary dotrzymać. Tę myśl składał przy blasku gazu wyzyskiwany zecer, przenosił ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany, a na śmierć gotowy wyznawca idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia tam, gdzie chciało marzenie prawych i *in tenebris lux lucet!*« — Ta chwila będzie dla junkra talizmanem przeciwko wielu bólom i zawodom. Lecz w takie etapy ubogie jest życie ludzi w dusznej atmosferze »inteligentnych sfer« cierpiących... A oto tenże junkier patrzy z boleścią na śmierć kolegi w pułku — nihilisty-pijaczyny moskala. Był to jeden z »przyjaciół-moskali«, którzy hańbę ojczyzny swej odczuli tak mocno, że ich przetrawiła na proch, że wyzuła ich nawet z nadziei.

Tacy ludzie, jak pijaczyna-nihilista, zalewają się narkotykiem, aż do chwili, kiedy w ataku jasnowidzenia nie skończą samobójstwem lub po prostu nie wyzioną w chorobie resztek zbutwiałego ducha. Junkier patrzy na tę agonję — i jemu również włosy na głowie powstają i on również czuje, że coś się w nim rozpada, rozrypuje w gruz, w proch. W punkcie jednakże, od którego zaczęła się prawdopobnie śmierć moralna Moskala-nihilisty, junkra orzeźwia jeszcze raz — jedno z tych źródeł:

»...Stoi kopiec niewysoki pośród kęp gęstej olszyny i tarek, a rośnie na nim dzikie ziele i paproć. Na samym szczycie, usycha krzak głogu dzikiego, dawno przez kogoś posadzony i oddawna przez wszystkich zapomniany. Przed kopcem, od strony gościńca wyciąga ramiona krzyż modrzewiowy z napisem:

»Na cześć braci poległych za Ojczyznę, w dniu 10. października 1794 r.«.

»Odczytawszy te słowa przypomniałem sobie dopiero, że stoję na miejscu maciejowickiego pogromu. Tędy nastąpiły na Europę i jej kulturę hordy kałmuków, pojmawszy w tem bagnie

najlepszego, najczcigodniejszego jej obywatela i obrońcę.

»Nieoceniona krew Tadeusza Kościuszki, którą na tem miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem, dotknąłem ustami piasku mogiły. Nareszcie poznałem ją, zrozumiałem, co ona jest i uwielbiłem na zawsze — tę Ojczyznę«.

Oto jest apel, do którego staje dusza zbolała, oto jest źródło, które obmywa ją ze śniedzi gnuśnych zwątpień, oto rękojmia, że w proch się nie rozsypie, jak moralna budowa nieszczęsnego Moskala-nihilisty, któremu takie pomniki krzyżowej drogi nie znaczą...

Doszliśmy teraz do takiego idealnego punktu powieści o chorych duszach, gdzie schodzą się razem i drogi krzyżowe i drogi odkupień, gdzie obcują żywi i umarli:

Bogataś, Polsko, w rady i sposoby —
Nie u żyjących wszystkie twoje siły —
Kiedy ci milczą — przemawiają groby,
Kiedy ci wątpią — wierzą twe mogiły!...

Prawdziwie — nie trzeba uciekać się do mistycznych doktorów, ażeby to zrozumieć...

Zbierzmy teraz pokrótce rozrzucone w toku tych notatek przestanki, ażeby przy ich pomocy raz jeszcze na ostatek wrócić do — zagadnień literackich. Starałem się naprzód wykazać, że utwór pana Zycha, jest owocem szczególniejszego stanu ducha, że tej szarpiącej energji pełne obrazy, przekraczając normę powszednią — zasługują na niepowszednią uwagę. Starałem się dalej wykazać, że jak forma ich, tak i treść są mistrzowskim wyrazem rdzennych, żywym i umarłym wśród nas wspólnych wysiłków ducha. — Że jednak autor wyświetla nam – w przebiegu psychologicznym tych wysiłków — współczesną ich formę i wyprowadza współczesne typy, przez co świadectwo jego artystyczne nabiera tem żywotniejszego znaczenia. I tak autor staje przed nami jako samorodny przejaw twórczy tych właśnie kategorji spółczesnych, tej właśnie atmosfery znamiennej, z których sam wysnuł swe dzieło.

Dla tego to, mając na względzie i fakt obecności tych »tysięcy«, w nowożytnym trybie istnienia spełniających swój trud życiowy i fakt samorzutnego przejawiania się im właściwych stanów w formie artystycznej — zaznaczyłem potrzebę podtrzymywania tego nowego prądu literackiego.

Czy »nowy prąd« jakiś naprawdę istnieje i czy są jakieś środki »podtrzymywania« prądów literackich?

O istnieniu nowego prądu w literaturze naszej świadczyć może bardzo wyraźnie następujące zestawienie. Proszę oto wziąć ryczałtem autorów, którym przeważnie zawdzięczamy piękny istotnie rozkwit powieści naszej w Królestwie. Czy nie zauważy czytelnik, jak dziwnie umieli oni przystosować się do warunków cenzury? Nie sięgając oczywiście do czasów Bolesławity lub nawet Elpidona — po prostu nie znajdziemy kilku na kilkudziesięciu pisarzy ostatniej doby, którzyby czuli potrzebę szczerego wypowiedzenia się, bez żandarmskiej korekty cenzury. Bezwątpienia stylistyka przyszłości znajdzie arcydzieła w warszawskiej literaturze, która dosięgła szczytów w sztuce pisania »między wierszami«... Ale fakt pozostaje faktem: niecenzuralna powieść w ostatnich latach kilkunastu wprost u nas nie istniała. Czytając rozmaite powieści autorów z Królestwa, silące się w zgodzie z cenzurą przedstawić różne »obozy«, różne »prądy«, różne typy »reformatorów« — wprost litość bierze na ich ubóstwo, na ich zakres parawanowy, na brak życia i prawdy w nich. Gdzie niegdzie chyłkiem przekrada się »student-socjalista« lub jakieś idealistyczne chłopię o pustych frazesach ma zawrzeć symbol, czy ideę tych przemian i dążeń, które istotnie wstrząsały ostatnimi czasy naszą inteligencją! A przecież był to czas wielkich procesów politycznych, nieustającej, zaciętej walki, wyrabiania i powstawania mnóstwa całkiem nowych typów, budzenia się do życia publicznego warstw przedtem uśpionych, najgorętszej wreszcie obrony przed rusyfikację naszych kresów.

Nie będę tu wchodził w przyczyny tego dziwnego stanu rzeczy, ale fakt zaprzeczyć się nie da.

Gdybym teraz mógł bez obawy denuncjacji mimowolnej wymienić nazwiska i pseudonimy autorów najmłodszych — nie potrzebowałbym długo dowodzić, że stan ten ulega zmianie. Z tych, którzy zaczęli pisać przed kilku laty, nie znaleść prawie jednego, którzyby nie korzystał ze swobody słowa w Galicji i Poznańskiem. Proszę zwrócić uwagę na obfitość utworów, dotyczących życia w zaborze rosyjskim, które się zjawiają teraz w piśmiennictwie z tej strony kordonu. Są pisma, które swą część artystyczną, literacką w połowie zawdzięczają współpracownictwu młodych sił Królestwa... Zjawisko to najzupełniej się tłumaczy faktem, że oto ruchliwe pokolenia młodzieży, które przed kilku, przed kilkunastu laty przyjmowały żywy udział w ruchu młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim — teraz właśnie dochodzą dojrzałości.

Niezliczone grupy i »partje« młodzieży skrystalizowały dziś rozmaite typy swoje, perypetje ich walk, zabiegów, rozczarowań domagają się swego wyrazu w literaturze – i znajdują. Skład cały życia tych lat ostatnich wśród młodzieży, nastrojonej dużo mniej ugodowo, niż poprzednie pokolenie, sprawia, że ta rozpoczynająca się dziś spowiedź artystyczna — nie może się pogodzić z cenzurą...

Na obserwacji tej nie będę dłużej nastawał: jest to fakt — zdaniem mojem — nadający się albo do zaznaczenia tylko, albo do studjum, któreby

wiele rzeczy ciekawych mogło nam odsłonić. Tak rozumiem powstawanie »nowego prądu« literackiego: jest to prąd samorodny, konieczny, będący konsekwencją przemian społecznych, któreśmy w ostatnich latach przebyli.

Jaką doniosłość może mieć prąd taki — niech zaświadczą jego pierwsze objawy, przynoszące nam garść niezmiernie nowych, niezmiernie ciekawych rewelacji artystycznych. Jakże inne są etapy życiowe tych ludzi, jak niepodobne są ich »obozy« do obozów z papieru wyciętych przez fabrykantki powieści społecznych w rodzaju Rodziewiczówny! A coby czytelnik powiedział o »genjalnym Płoszowskim«, gdyby tak ten lokaj hr. Henryka — szczerze i jasno musiał się wypowiedzieć w kwestjach palących, w kwestjach naszego istnienia? — Próżnoby wówczas mydłkowaniem filozoficznem tumanił czytelników, którzy dziś serjo wierzą, że on cierpi na brak »dogmatów«, a nie na anemję mózgu i serca!

Szczera, wyraźna, jasna spowiedź pokoleń po sobie idących stanowi rdzeń literackiego dorobku społeczeństwa. Są takie kwestje, bodaj w psychologji i opisowości artystycznej, których na żaden sposób wypowiedzieć nie można »między wierszami«. — W naszych warunkach do kwestji tych należą najżywotniejsze przemiany życia — jak przemiana Gustawa w Konrada. Literatura nie może być »arką przymierza«, jeśli za dużo w niej miejsca zabiorą figlarne sztuki stylistyczne. A pokrzywdzoną w niej będzie właśnie ta sfera życia narodowego, w której się rodzą w fermentach pierwiastki przyszłości, krystalizują się czyny dokonane w kształt nowego istnienia. Gdzież bardziej miejsce artysty, jeśli nie tam?

Popierać tego rodzaju prąd literacki może każdy, kto pisze. To nie jest nowa szkółka, czy kapliczka ostatnio-kreowanego fetysza artystycznego, — którego trzeba uznać, żeby mu służyć.

To jest nakaz z istoty samego pojęcia sztuki płynący — że dzieło może być prawdziwem, pięknem, ważnem tylko wtedy, gdy jest poczęte swobodnie.

Antoni Potocki.

KRYZYS.

(Studjum z natury).

(Dokończenie).

Teraz dopiero przypomniał Kalinowski, że to istotnie było nazwisko mechanika.

— Niech pan będzie łaskaw przeczytać ten list — dodał młody człowiek.

Kalinowski poznał pismo mechanika i wyczytał, co następuje. »Niespokojny jestem o zdrowie P. Pisałem do niego przez okazję — przez pana Kalinowskiego z naszej kopalni (stoi w hotelu Saskim). Jest to porządny chłop i warto, żeby P. z nim gadał«...

Kalinowskiemu odrazu się rozjaśniło. Znał ten styl konspiracyjnych listów i odrazu zrozumiał, że chodziło tu o »zdrowie« Przybylskiego. Jednakże jeszcze nie był całkiem pewny. Młody człowiek, podarł list na drobne kawałeczki.

— I mnie pan znał dawniej — rzekł patrząc w oczy Kalinowskiemu. Przypomina pan sobie może orzechowe wieczorki, kółko handlowców?

Coś, coś jakby we mgle, z pierwszych lat życia studenckiego zamajaczyło w pamięci Kalinowskiego.

— Pan był kolegą Lolka Krutniewskiego? —

— Tak jest — odrzekł chemik — Dysputowaliśmy raz z panem z powodu broszury O j c i e c S z y m o n, pamięta pan?

Teraz patrząc na bladą, jakby niedostatecznie odżywioną twarz Anielewskiego, na te oczy zmęczone ciągłem czytaniem — Kalinowski przypominał sobie najwyraźniej, że go gdzieś, kiedyś musiał spotykać. Nie pamiętał zresztą dysputy o O j c a S z y m o n a, ani rysów Anielewskiego, ale z pewnych nieuchwytnyeh może cech poznawał, że ma do czynienia z jednym ze »społeczników«.

Kalinowski, trochę zacinając się opowiedział mu o swojej wizycie na Solcu i o obawie, czy nie zaszkodziło co spóźnienie się listu. Kamień z piersi spadł mu, kiedy Anielewski upewnił, że owszem może nawet lepiej się stało, bo Przybylski był już od pewnego czasu śledzony. List mechanika zawierał wyrachowanie kosztów »drogi«, którą podejmował się mechanik wynaleść dla sprowadzenia broszur agitacyjnych oraz prośśbę o przysłanie kilku potrzebnych mu książek dla robotników. Chemik po przeczytaniu podarł list podobnie, jak poprzedni.

— Więc nic się złego nie stało z powodu opóźnienia listu? — zapytał jeszcze raz Kalinowski.

Chemik uspokoił go.

— Szkoda tylko — rzekł — że teraz nie będziemy mogli załatwić komisu Szwarca. Miał właśnie Przybylski zawieść tam książki. Teraz czas jakiś musimy się wstrzymać.

Kalinowski się zamyślił.

— A dużo tych książek posyłacie panowie?

— Paczka niewielka — może z dziesięć funtów. Ale na razie niema kto zabrać.

— No, a gdybym ja się podjął? — zdecydował się Kalinowski.

— Zdaje się, że pan to mógłby zrobić bez narażenia się: książki są w całkiem pewnem miejscu i ja bym je mógł do pana przynieść.

— Więc dobrze, niech pan przyniesie jutro o tej porze. Nie wiem jeszcze kiedy wyjeżdżam, ale wolę mieć wszystko w pogotowiu.

Chemik nawet nie dziękował Kalinowskiemu za pośrednictwo, rozumiejąc, że Kalinowski robi to »dla sprawy«. Uścisnął mu tylko mocno dłoń na pożegnanie i obiecał jutro przyjść przed dziesiątą.

Po wyjściu chemika Kalinowski począł zbierać roztrzęsione w ostatnich niespodziankach myśli. Na ogół czuł się jakby po przebyciu ciężkiego »kazenjameru«. Była to jakaś mięszanina wyrzutów, niesmaku, goryczy, w których, jak przykra czkawka, odbijały się kawałki i strzępy z repertuaru ostatnich kilku dni. — Niegdyś, za czasów studenckich, »kazenjamery« takie stanowiły zjawisko stałe, znane wielu z pośród towarzyszy Kalinowskiego. Były one rodzajem jałowego okupu za również jałowe szastania się po knajpkach, zebraniach i »randkach« z mniej lub więcej postępowemi pannami.

Przychodziły zwykle w ranki dżdżyste i pochmurne wraz z atakiem nieszkodliwego pesymizmu i parogodzinnej lub parodniowej samokrytyki. Następnie, pacjent taki, po kilku dniach »porządnego« życia, podczas których zazwyczaj rozpoczynał jakieś poważne »studja«, znowu ciągnął do Blickla na czarną kawę i dekadencką rozmowę...

Od Blickla szło się do Victora. I znowu w kółko szły knajpy, zebrania i inteligentne rozmowy, aż do następnego »kazenjamera«... Coś podobnego czuł Kalinowski teraz. Kilka dni spędzonych j a k d a w n i e j — pociągnęło dawniejsze konsekwencje. Kalinowski uprzytamniał sobie czas, spędzony w Warszawie od wystawy obrazów, aż do wizyty na Solcu i grzebał w tem złośliwie, czując wzrastające obrzydzenie. Co to było? To było skrócone powtórzenie tego, czem żył dawniej przez całe lata. Wszystkie, wszystkie te rzeczy znał już, aż nadto znał.

Znał arystokratyzm ducha i indywidualizm Gruszczyńskiego, znał przesiadywania po kawiarniach i bezładne dyskusje, znał medyków, uprawiających impresjonizm, znał cały ten furkot frazesów, który nie zostawia po sobie nic, tylko »kazenjamery«... Właściwie nie formułował nikomu żadnych oskarżeń. Ale jakaś ciężka, ołowiana fala przepływała mu po głowie, coś bezpowrotnie wymiatając z myśli, serca...

Ocknął się jednak Kalinowski prędko i nie zwlekając zabrał się do niezałatwionych interesów. Czuł potrzebę ruchu, czynności. Zdawało mu się, że w ten sposób najprędzej pozbędzie się wyrzutów sumienia i niesmaku do samego siebie.

Interesa zresztą nie były zbyt skomplikowane. Artykuł mechanika udało mu się przed objadem jeszcze ulokować: miał zapewnienie redakcji, że temat jest bardzo pożądany i że artykuł pójdzie.

Z redakcji poszedł do klubu cyklistów i otrzymał wszystkie potrzebne wskazówki.

Po obiedzie kilka godzin spędził w księgarni, załatwiając komis córki kasjera i wybierając sztuki dla teatru amatorskiego. Na własną już rękę porobił zakupy powieści historycznych, podróży, książek popularno-naukowych. Przy tej czynności zastał go Gruszczyński, który wpadł był na chwilę dla przejrzenia jakiejś nowości.

— Cóż to? — w oświatę się zabawiacie? — zagadnął, przeglądając tytuły książek Kalinowskiego. Kalinowski był zły, że go złapano na gorącym uczynku.

— Bułki — serdelki! — machnął ręką muzyk. — Dobrze, że was spotykam — bądźcie dziś wieczór u Victora. Będzie Dziorobek, Sum chce się z wami zobaczyć. Bolek też przyjdzie.

Gruszczyński wypadł z księgarni, spiesząc »na patelnię«, gdzie również miał się z kimś spotkać.

— Chodźcie — kusił Kalinowskiego — będzie kilku facetów.

— Cóż mnie to może obchodzić? — rzekł Kalinowski.

VI.

Gruszczyński, rzeźbiarz, Bolek i kilka jeszcze znanych Kalinowskiemu osób — czekali już oddawna u Victora w gabinecie na lewo. Kalinowski spóźnił się i wskutek tego musiał teraz »dopędzać« zgromadzonych. Szczególnie obstawał przy tem niejaki Sum-Sumiński, siwiejący poczciwiec, pełniący zwykle z własej woli rolę gospodarza wśród »młodych«, Sum-Sumiński notował za wszystkich sznycle i piwa, kłócił się z lokajem i promieniał ożywieniem. Kalinowskiego odrazu wziął w opiekę:

— Radzę panu antrykot — ale przed tem musi pan dwa koniaki połknąć. My wszyscy piliśmy po dwa.

Reszta towarzystwa nie nastawała zbytnio. Rzeźbiarz pił sobie wodę z winem czerwonem i miał minę z góry zastrzegającego się przed należeniem do kosztów wspólnych. Bolek jakiś czas dotrzymywał towarzystwa Kalinowskiemu, który był dziwnie milczący, ale w końcu przesiadł się do młodego doktora, który właśnie świeżo wracał »z cholery« i opowiadał mnóstwo kawałów. Na drugim końcu stoła, Gruszczyński rozprawiał z jakimś panem, nowym w tem towarzystwie. Kalinowski słuchał obojętnie monotonnej wymowy Gruszczyńskiego, który rozwijał przed nowym panem pomysł jednego ze swych »cyklów«. W drugim kącie sali siedziało towarzystwo dziennikarzy, między którymi był nawet jeden z »naszych znanych«. Przy dużym stole pośrodku w rozpiętych mundurkach i w jowiszowych kłębach siedzieli studenci, wymieniający między sobą błyskawice spojrzeń. Studenci byli zarumienieni, mocno »rugali« lokaja, który ich obsługiwał z zaciętemi ustami i wiedli wielką rozmowę.

Kalinowski przestał słuchać Gruszczyńskiego, który rozpoczął już rzecz o reformie teatru i odwrócił się do studentów. Mimowoli szukał między nimi znajomych — nie znał nikogo, chociaż te twarze tyle mu przypominały. Byli to widocznie nowi, tylko co przybyli do Warszawy. Pyszny był zwłaszcza jeden różowy i krąglutki jak jabłuszko, który cygaro dymiące się w ustach nie tyle palił, ile ogryzał. Najstarszy w gronie, już widocznie stary warszawiak, wypowiadał długie nie bez krasomówstwa popełniane okresy.

— Przedewszystkiem musimy się porozumieć co do terminów Pan — zwracał się do jabłuszka — zapewne jak i ja stoi na gruncie sprawiedliwości narodowej?

— I społecznej! silnie odparł student-jabłuszko.

Następnie rozpoczęli mówić wszyscy na raz. Kalinowski słyszał tylko urwane frazesy i wyrazy: »samokształcenie się — uświadamiać — porozumiewać się«.

Z drugiej strony Gruszczyński, skończywszy z teatrem wogóle, mówił o teatrze marjonetek i o potrzebie utworzenia w Warszawie teatru młodych, teatru niezależnych. Sum-Sumiński przytakiwał mu głośno i z uczuciem; rzeźbiarz miał minę, jakby zaznaczał, że go to do niczego nie obowiązuje. Pan zaś nowy w towarzystwie wyrażał w całej postawie bezgraniczny zachwyt.

Kalinowskiemu zdawało się, że jest w samym środku tej wrzawy, przeplatanej dzwonieniem szklanek i dźwiękami śpiewów z gabinetów sąsiednich. Zdawało mu się, że po raz pierwszy jest w tem towarzystwie, że jest mu całkiem, całkiem obcy. Starał się tylko łapać jednocześnie frazesy studentów i Gruszczyńskiego, skąd powstawała przedziwna mięszanina. — Na salce od czasu do czasu zjawiał się spóźniony gość i szukał oczyma znajomej kompanji. Czasem z przyległego gabinetu z fortepjanem wypadał gogo upięty w niebotyczne kołnierzyki. Studenci obrzucali go zbiorowo pogardliwem spojrzeniem, na co gogo nie zwracał uwagi. Raz z pół otwartych drzwi gabinetu, w którym najwidoczniej były facetki, doleciał wyraźny śpiew.

— Tara-bum-dira!

Student-jabłuszko ożywił się i opowiedział kolegom, że jest to szansonetka od Ronachera wiedeńskiego...

Raz jeszcze otworzyły się drzwi i ukazał się w nich ostatni z szukających. Kalinowski bezwiednie niemal odwrócił się ku drzwiom. — Pazikowski kłaniał się mu, wycierając zapocone binokle.

— Cóż słychać nowego — rzekł Pazikowski, witając się z kompanją. — A pan jeszcze w Warszawie?

Sum-Sumiński odrazu wziął go w swoją opiekę.

— Po kolacji jestem — rzekł Pazikowski — ale bym coś przepił. W pół godziny po przyjściu Pazikowskiego, rozmowa stała się całkiem ogólną. Rzeźbiarza nawet Sum-Sumiński potrafił namówić na benedyktynkę. Kawały cholerycznego doktora, niczem były wobec autentycznych wiadomości Pazikowskiego.

Gruszczyński nawet przerwał rzecz o najnowszej powieści Sar-Peladan'a i słuchał historji »puszczenia się« dwóch sióstr Malinowskich.

Kalinowski słuchał również, śledząc z uwagą błyski żółtych zębów Pazikowskiego. Nagle podniósł się z krzesła i począł zapinać surdut.

— Uważasz — rzekł do Bolka — ja jutro wyjeżdżam, więc nie mogę dłużej siedzieć.

— Co? skąd? jak? — zdziwił się Bolek — przecie masz jeszcze kilka dni urlopu.

— To nie ucieknie — rzekł Kalinowski — zarezerwuję sobie te parę dni na Boże Narodzenie.

Ale już wszyscy wstawali od stołu, a Sum-Sumiński zdawał się po cichu namawiać zgromadzonych do jakiejś wycieczki.

— Był już pan t a m? — spytał Kalinowskiego.

— Gdzie?

— No t a m, u Zośki?...

Kalinowski wzruszył ramionami.

— Do Zośki! — rzekł adwokat — musimy przecież coś zrobić z resztą wieczoru.

Na salce istotnie już było pusto: po studentach, którzy wyszli przed chwilą, została wielka kupa pudełek od papierosów. Sum-Sumiński próbował jeszcze namówić Kalinowskiego, który go nagle ostudził.

— Daj no pan spokój — rzekł głosem nieco ochrypłym. Na ulicy pożegnał się mimo protestów z kompanją, która pociągnęła przez Plac Saski, Miodową, Długą ku Staremu miastu.

Nazajutrz rano jechał Kalinowski do domu, uwożąc paczkę książek, które przyniósł chemik i walizę pełną komisów swych kolegów. — Chemik na odjezdnem żałował, że nie mogli się lepiej poznać.

— Wpadnę tu do was na dni kilka podczas Bożego Narodzenia — odrzekł Kalinowski.

Na razie nie chciało mu się zostawać dłużej. Czuł jakąś czczość w sobie, jakąś pustkę i pytania, które powstały w nim w ciągu tych kilku dni dawnej cyganerji brukowej. Zdawało mu się, że gdyby został tu teraz, to miałby ciągle wrażenie słów, pustych słów, których już miał tak bardzo dość. Nie robił nawet żadnych postanowień; czuł tylko jedno wyraźnie: że wszystko to co było, wszystko czem żył niegdyś, było jakby czemś udanem, niepotrzebnem i że teraz staje twarzą do rzeczywistości, do dnia powszedniego...

Jerzy Grot.

Paryż, w sierpniu 1895 r.

Nieco o Szekspirze

z powodu nowego wydania jego dramatów *).

I.

Czy można dziś jeszcze napisać o Szekspirze coś nowego?

Z pozoru, odpowiedź wypaść musi przecząca. Napisano o Szekspirze tak wiele! napisano, rzec można, wszystko! Alboż nie został wystudjowany wszechstronnie, przez użycie skalpela i mikroskopu, nietylko każdy z jego dramatów, ale nawet każdy z wierszy, które się w tych dramatach znajdują?

Gdyby wystąpił kto ze zdaniem, że twórca »Hamleta« to zwykły fabrykant szopek z żywych ludzi — nie byłoby i to nowością. Gdyby oświadczył, że Szekspira-dramaturga wcale nie było, istniał zaś tylko Szekspir-komedjant, którego nazwiska pożyczał dla swych utworów kto inny, Bakon naprzykład — i to byłoby stare.

A jednak o Szekspirze można pisać dziś i będzie można pisać zawsze. I zawsze będą to rzeczy nowe, o ile się w nich duch czasu uwydatni. Bo Szekspir nie zmienia się, ale ulega zmianie stosunek do niego każdej kolejnej epoki i każdego świeżego zastępu czytelników.

Każda też epoka podoba sobie w innej stronie twórczości wielkiego, wszechstronnego genjuszu.

Gdy panował militaryzm, bohaterstwo na polu walki, ścierania się narodów lub stronnictw, ciągnęły najbardziej jego dramaty historyczne, pełne szczęku oręża i patosu potężnych, politycznych wypadków.

Romantyzm rozkochany, ubóstwiający kobietę na podobieństwo praojców swych trubadurów, uczynił kodeks swój i biblję ze smutnej historji Romea i Julji; *a romantyzm* burzliwy, upiorowy, lubujący się w okropnościach, znalazł karm niewyczerpany w »Makbecie«, »Królu Learze« i »Otellu«.

Przyszła reakcja i najpierw sztuce, a potem życiu odjęła bujność, i lotność i wszystko, co nie było prostem doświadczeniem zmysłowem. Artyści, pozbawieni skrzydeł, a zaopatrzeni w ich miejsce w skalpel i mikroskop, stali się pozytywistami i demokratami. Odwrócono się od Homera, wzgardzono Dantem, wyśmiano Petrarkę — ale Szekspir królewskości swej nie stracił. Ludowe sceny jego dramatów, jego komedje, szczere aż do brutalstwa — i cała, nieprzebierająca w słowach, a dla wydelikaconych czytelników tak jaskrawa i drażniąca prawdomówność, zyskały uznanie Zoli i jego szkoły. Stwierdzono, że Szekspir jest najznakomitszym »zbieraczem dokumentów« i głowy przed nim schylono.

Najnowszy zwrot umysłów ku nadprzyrodzonemu, ku spirytyzmowi, ku cudowności, ku światom tajemniczym, leżącym pomiędzy człowiekiem i aniołem, nie może Szekspira, ani wyprzeć się, ani na plan dalszy usunąć. Albożnie zaludnił on swych światów wróżkami, djablikami, duchami zmarłych i czarodziejami? Zjawiska realne i nadprzyrodzone splatają się u niego tak ściśle, że niekiedy — jak w »Burzy« naprzykład lub »Śnie nocy letniej« — trudno oznaczyć, gdzie świat ziemski kończy się, a nadziemski zaczyna.

A ponieważ smutna chwila, w której nam żyć przyszło, pomimo wszelkich narkotyków, jakiemi jeśli nie uzdrowić się, to przynajmniej znieczulić pragniemy, pełna jest najstraszniejszych zwątpień i duchowej bezsilności — blizkim jej jest także nieśmiertelny typ umysłu wątpiącego: »Hamlet«.

Zdanie Wiktora Hugo o Hamlecie, że nie wyobraża on pewnego człowieka, ale jest wprost człowiekiem, to znaczy: zamyka w sobie ludzkość całą, dopiero za dni naszych nabierać poczyna wagi rzeczywistej. Roi się świat Hamletami i tylko Hamletami, bo epoka przyrodnich braci jego: Fausta i Manfreda minęła. Nikt dziś z djabłem paktów nie zawiera, ani też do boju tytanowego nie wstaje; wszyscy natomiast mają ducha ujętego w kleszcze okropnych pytań bez odpowiedzi.

Mógł był Szekspir nie napisać nic więcej prócz »Hamleta«, a dziś po trzech wiekach, czytałby go świat, podziwiał i za genjusza uważał. Można też powiedzieć, że dopiero za dni naszych ten melancholijny następca tronu duńskiego doczekał się korony. Dla współczesnych był on tylko obłąkańcem, tak jak Don Kichot kreacją do śmiechu.

Tak więc nowe wydanie Szekspira w polskim języku przychodzi w porę. Jest może nawet aktualniejsze dziś, niż kiedykolwiek. Znużeni nadmiarem dociekań, rozbiorów, kruszenia życia na coraz drobniejsze cząsteczki, pożądamy w równym stopniu filozoficznej i artystycznej syntezy. Potężne obrazy angielskiego poety (nazywając go angielskim, nie trzeba zapominać, że jego dzieła, podobnie jak dzieło Kopernika, należą do świata całego), pomimo nadzwyczajnej różnorodności materjału, który w skład ich wchodzi, są zawsze doskonale zharmonizowane i wydają pełny dźwięk akordu.

Pierwsze trzy tomy nowego wydania poświęcono dramatom historycznym, które rozpoczyna »Król Lir«, kończy »Król Henryk VIII«. Te dramaty w koronie arcydzieł szekspirowskich nie zajmują miejsca pierwszego, ani nawet drugiego. »Ryszard III« stanowi tu wyjątek; w po-

*) Dzieła dramatyczne Wiljama Shakespeare (Szekspira), w 12-tu tomach, przekład J. Ulricha, z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego. Kraków, nakład G. Gebethnera i Sp., 1892.

zostałych tylko tu i owdzie »szpon lwi« czuć się daje.

Uwielbienie dla genjusza nie może zamykać oczu na jego niedostatki. Doskonałość bezwzględna nie z tego jest świata. »Nie jest się poetą — znakomicie powiedział Norwid — ale się nim bywa«. Bywa się zaś najrzadziej wówczas, gdy się pisze na zadany temat, gdy się nie tworzy, ale tylko pracuje, gdy się zwłaszcza przebudowywa, odbudowywa i dobudowywa, jak to właśnie czynił Szekspir w swych »historjach« *(hi stories)*. C. d. n

SEN.

FANTAZYA

prze

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

Siedziałem wobec sądu na ławie oskarżonych, a obwiniano mnie o spełnienie w życiu licznych zbrodni: świętokradztwa, bluźnierstwa, zdrady, wiarołomstwa, oszustwa, kradzieży, morderstwa...

Oskarżenie było straszne i domagało się najsurowszej kary.

Zrazu miałem duszę lekką, umysł przeświadczony, że na sumieniu mojem nie więcej ciąży występków, niż na sumieniu pierwszego lepszego człowieka, który do starości przebiegł życie. Myślałem, że wszyscy bliźni mi ludzie mają naturę zupełnie do mojej podobną, że już we krwi ich niejako tkwią wszystkie moje wady i zalety, a przeto nie zasługują na potępienie.

Spokojnem okiem spoglądałem na cisnących się do izby sądowej widzów, dziwiąc się, dlaczego tak tłumnie przybywają. Ach! bo ludziom sprawia rozkosz oglądanie własnych uczuć na scenie, ponieważ inaczej sami siebie widzieć nie mogą.

Mnóstwo znajomych płci obojej widziałem dokoła siebie i sam zacząłem być ciekawy siebie.

Opanowała mnie najzupełniejsza pewność. Gdzie okiem rzucić, wszędzie ludzie, a ja czułem się jednym z tej gromady, zrosłym z nią wyobrażeniami, uczuciami, pragnieniami, czynami. Cóż w nich być mogło, co mnie nie ożywia?... Jasno czułem, wyraźnie widziałem wszystkie nici, które mnie łączyły z całą ludzkością. Czyżbym się inaczej mógł poczuwać do człowieczeństwa?...

»Któż tu na mnie kamieniem rzuci?... Kto jest bez winy?... Czy moja moralna wspólność z całą ludzkością może się zwrócić przeciw mnie samemu tylko?... Jestem przecież człowiekiem i nic nieludzkiego nie mam w sobie! Muszą to przyznać«.

Ale w miarę, jak oskarżyciel przedstawiał moje występki, upadałem coraz więcej na duchu, a przeświadczenie o własnej niewinności ciągle we mnie malało i malało.

Rzuciłem okiem po zgromadzonych; spostrzegłem na niektórych twarzach przerażenie, oburzenie, zgrozę, na innych — jakby uśmiech zadowolenia, jeszcze na innych — żal, smutek, zawód. Widziałem i łzy w oczach.

»Ha! więc widać wierzą, żem występny, żem inny, niż oni!... Biada osamotnionemu człowiekowi, z którym nikt się nie poczuwa do wspólności!«

I teraz występki moje rzuciły mi się do oczu — ich oczywistość była nadzwyczajnie wielka; zadrżałem w głębi serca... Każde słowo oskarżyciela uderzało mnie teraz. jak kamień, budziło straszliwie dotkliwe wyrzuty sumienia, rodziło w umyśle szczere przekonanie, że jestem zbrodniarzem. Całe moje życie przedstawiło mi się jako jedno nieprzerwane pasmo występków godnych kary, które popełniałem od chwili przyjścia do rozumu, aż po chwilę obecną Sam sobie obrzydłem, czując własną małość i nikczemność. Człowiek obmierzł mi w duszy i nie śmiałem już podnieść oczu, ogromnie zawstydzony, że czyny moje w całej swej nagości wyszły na jaw wobec tych, co mnie uczciwym nazywali. Dlaczego za takiego między nimi uchodziłem? Dlaczego się taiłem, byłem obłudny?... Teraz oto, nim wyrok sądu zapadł, sam się potępiłem we własnem przekonaniu. Oh, jak się skurczył mój egoizm... Sądziłem, że dokoła mnie huczy jakaś zawzięta wrzawa, a to był krzyk mojej duszy. Szkoda, że się człowiek nie może odwrócić od siebie samego i nie widzieć rany, którą otrzymał jego egoizm!

Raczej skryć się pod ziemię, niż patrzeć na ten tłum ciekawych — i wśród nich tylu znajomych!

Cieszyłem się ich uznaniem, przyjaźnią, a teraz jak oni dziwnie na mnie spoglądają..... Wpadłem w nieszczęście, jestem na dnie niedoli: cierpię, gdyż się wydały moje szpetne uczynki, ujawniła się zupełnie moja czarna dusza..

A oskarżyciel, dobrze mi znany człowiek, zdawał się być panem wszystkich najgłębszych mych tajemnic; otwierał księgę mojego żywota, wyliczał z niej różne występki, które objaśniał zamiarami, pobudkami nie zawsze wyrwanemi żywcem z mojej duszy. Istotę każdego występku

znał on jednak nawskroś, gmerał w mych sprawach po mistrzowsku.

Słuchając jego obszernych wywodów, nabrałem wnet przekonania, że mnie całkowicie splondruje, że wszystko najskrytsze ujawni, napiętnuje ku zgorszeniu zgromadzenia. Zwolna począłem uczuwać w sobie zuchwalstwo, jakąś bezwstydną odwagę złoczyńcy, chęć urągania ludzkiej sprawiedliwości. Musiałem się otrząsnąć ze zgnębienia, gdy w odpowiedzi na oskarżenie, jakiś głos tajemniczy zdawał się szeptać mi na ucho:

»Ludzie dlatego pragną sprawiedliwości, ponieważ są źli i biada temu, kogo oni sądzą! Tylko Bóg jest dobry«...

Spojrzałem na swego oskarżyciela. Miał usta zacięte, twarz poważnie oburzoną i wydał mi się jakby wpatrzony w siebie samego, z własnej duszy odczytujący oskarżenie. Czyżby mnie dlatego tak ciężko oskarżał, że dobrze zna siebie? Mówił płynnie, wyraźnie, kładł nacisk na to wszystko, co powinno oburzyć zgromadzonych.

Z kolei podniosłem oczy na sędziów. Siedzieli z powagą rzymskiego senatu naokoło stołu; znałem ich wszystkich bardzo dobrze, gdyż byli to albo nieprzyjaciele, albo przyjaciele moi. Nieprzyjaciół było wielu: takich, co mnie zawsze milczkiem kąsali i takich, którzy występowali jawnie w imię zasad, popieranych przez większość. Dotknięci przezemnie w swoich uczuciach, interesach, nienawidzili mnie szczerze. Ja im się też nie wywdzięczałem miłością i wcale tego nie taiłem. Nigdy się bezkarnie nie zagląda w duszę bliźniego: ogień dajesz, ogień odbierasz.

Jeden z nich miał dużą, tłustą twarz gbura; jego maleńki rozum zawsze się trzepotał i bzykał, jak komar, a ambicja posiadała żarłoczność rekina, który bezmyślnie rzuca się na wielkie okręty i chciwie połyka wszystko, co z nich wypadnie. Był moim nieprzyjacielem, ponieważ ja przyjacielem jego być nie mogłem.

»Ten prostak nie jest dla mnie niebezpiecznym — myślałem. — Świat nie uzna jego wyroku«.

Myliłem się, gdyż ludzie uważali głupotę człowieka za jego prawość, złośliwość — za odwagę i poświęcenie, egoizm — za mądrość, a nazywali go użytecznym, ponieważ był szkodliwym. Wszystkie jego wady mianem cnót chrzczono. Posiadał on atoli jedną zaletę: działał w dobrej wierze...

Spojrzeliśmy sobie oko w oko i wyglądaliśmy jak ludzie, z których każdy ma drugiego za głupca. Bardzo niedorzeczne przekonanie!

Inny był moim nieprzyjacielem, ponieważ niczyim przyjacielem nie był nigdy. Kochał się w sztuce sądzenia i potępiania ludzi, a odznaczał się surowością sądu, gdyż go to nic nie kosztowało. Tego człowieka gniewało, że widzi naokoło siebie bliźnich, którzy nań nie zważają i tak niezależnie żyją na świecie, jak gdyby on wcale nie istniał. Zapalał się wtedy tylko, kiedy słyszał słowa pobłażania dla czyichś słabości, a sam używał zimnej rozkoszy z potępiania. Bezwzględnie sprawiedliwy człowiek!

Obok niego widzę człowieka, który nigdy jeszcze i nic a nic nie zrobił na świecie. Pierwszem jego dziełem będzie wyrok na mnie wydany; ta pierwsza zasługa społeczna obdarzy go przywilejem zaszczytu. Gdybym był nawet, jak anioł czysty, musiałby mnie i tak koniecznie potępić, bo mu się uprzykrzyło być zerem. Niespokojnie biegają jego oczy, zdradzając, że tylko ta jedna myśl, to jedno uczucie ożywia go teraz Jeśliby mnie przypadkiem uniewinniono, musiałbym czuć litość nad zawodom tego biedaka.

W oddaleniu spostrzegam i takiego, co z przyjaciela nieprzyjacielem został, i to w sposób niezmiernie łatwy: winien mi pieniądze. Kiedyś nastręczał się nieustannie, dręczył mnie oświadczeniami przyjaźni; ale od czasu, jak zaciągnął pożyczkę, udawał, że mnie nie zna wcale. Na sądzie będzie mógł przemówić w te słowa:

»Ja, który znam dobrze występną duszę winowajcy, mam prawo wydać potępiający wyrok!«

Mój współzawodnik na polu pracy — także sędzia. On nieraz usiłował nawet wycedzić przez usta słowo uznania dla mojej pracy; dużo go kosztowało, że musiał. Jestto w obłudnym ludzkim języku tak zwany szlachetny nieprzyjaciel — jak gdyby można było bez ironji zestawić z sobą te dwa pojęcia.' Ten na sądzie nazwiska mego nie wymieni, on będzie tylko nieustannie dowodził, jak szkodliwą jest niemoralność w naszem wspólnem rzemiośle! sędziowie sami wyprowadzą już z tego wniosek: „Amicus Plato, amicus Socrates; sed magis amica *veritas!*“

PRO MEMORIA.

6. listop 1808. Dąbrowski po powrocie z legjonami do rodzinnej Wielkopolski wezwał rodaków do dalszej walki męską odezwą, która znalazła szerokie echo.

6. listopada 1863. Zginął w bitwie pod Wierzchowicami Czachowski, jeden z najdzielniejszych dowódców powstania. Bił on Moskali pod Grabowcem, bił pod Borją, Opatowem i Miedzianą górą.

7. listopada 1846. Zmarł w Poznaniu Karol Marcinkowski, żołnierz z r. 1831. słynny filantrop, założyciel stowarzyszenia pomocy naukowej w Poznaniu.

8. listopada 1894. Warszawa kapitulowała, a 9 list. wojska Suwarowa weszły do stolicy naszej.

8. listopada 1866, Rozstrzelani zostali w Irkucku na Syberji Szaramowicz, Kotkowski, Celiński i Rajnert za zbrojny opór władzy i dążenia do wywołania powstania

10. Listopada 1794 r. Ostatni oddział polskiego wojska, korpus Dąbrowskiego, złożył broń pod Radoszycami.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.